

## Król Murdas żyje!

Gry autorów w chowanego z cenzorem i starania władz, by znaleźć pretekst do uciszenia zoilów – są to rozrywki publiczne stare jak świat i do pewnego stopnia nawet ożywcze. Chciało by się jednak, by pojawiało się w nich nieco więcej finezji niż w ostatniej deklaracji min. Gawkowskiego.

Partię szachów rozpoczynają, jak wiadomo, białe, określenie, jakie informacje, terminy, idee i nazwiska nie powinny być używane publicznie należy do cenzora i to on nadaje kształt rozgrywce, on daje sygnał do startu. Przy czym o ile *illo tempore* wszystko było jasno – nie wolno wyrażać się bez należytego respektu o starszyźnie, a informowanie o planowanych ruchach wojsk, zasobach ziarna w spichrzach oraz miejscach, gdzie ryba bierze, są zdradą – wraz z zagęszczaniem się dyskursu sprawy zaczęły się nieznośnie komplikować.

Historię tych zmagania nieźle opisał ostatnio w swojej „Historii cenzury” (Biały Kruk, 2024) Jakub Maciejewski. Mnie jednak bardziej od dziejów instytucji – *cura morum* sporządzana przez cenzorów rzymskich, perlustracja pism w kancelariach papieskich, spory o kanon, księgi na stosach i w niszcarkach, aż po Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, kierowany przez takie tuzy jak tow. Czesław Skoniecki ps. „Ksiądz”, były kierownik siatki NKWD w wojennej Warszawie, nagrodzony możliwością likwidacji w 1957 „Po Prostu” –

interesowałaby nienapisana jeszcze chyba historia przebiegłości. A dokładniej: historia z jednej strony sztuczek, mrugnięć i aluzji, do jakich uciekają się autorzy, by nawiązać do zakazanego terminu, a z drugiej – uzasadnień, jakich szukają rządzący, by w majestacie prawa zlikwidować niepopularny tytuł.

Byłaby to praca bardzo obszerna, rozpięta między poetyką, poetyką a semantyką, bo przecież w tym jest cała sól, cały cymes, żeby napisać to samo, co inni, ale inaczej niż dotąd: ofiarować światu różę, ale już nie różą ją nazywając. Co można z różą, można i ze Stalinem, pisząc o posągach ryby sumiastej. Można rysować gruszkę, myśląc o królu Ludwiku Filipie, można układać fraszki ornitologiczne, wskazując na Wojskową Radę Ocalenia Narodowego, można, jak tępi w swoim uporze neonaziści, komponować różne kody cyfrowe z ósemkami i jedynkami, by na złość cenzorom wymienić Adolfa. Oczywiście, jest to nużące, i nieraz można zadać sobie pytanie „Jak to się stało, żeśmy się zaczęli / w to bawić? w te igraszki słów? w te kalambury, / przejęzyczenia, odwrócenia sensu / w tę lingwistyczną poezję?”. Ale, jako się rzekło – tę grę rozpoczyna nie pisarz, lecz cenzor.

Czasem jest dobrotliwy i wystarcza mu, że zostało zaspokojone jego *libido dominandi*: że ktoś musiał swoją obywatelską troskę, gniew, sprzeciw pakować w aluzje i napomknienia jakby różę owijał w słomiany chochoł. Czasem bywa niezmordowany: w pałacach prasy XX-wiecznych potęg przez całą noc paliły się światła, gdy brano pod światło szpalty komunikatów meteo – czy zdanie „lodowaty wiatr z północnego wschodu” nie zostanie źle odczytane? – a burmistrz z nowelki Mrożka oburzał się, nieco chuchając przy tym, za marchewkowo-czerwony nos postawionego w ogródku bałwana.

Można się w takiej grze całkiem zakiwać, jak wskazuje niewesoły los króla Murdasa z „Bajek robotów” Lema. Jak pamiętamy, świątły ten władca walczył ze spiskami, które zawiązywano w niektórych z jego snów, i doszedł do tego, że antykrólewskie, to jest antypaństwowe aluzje dostrzegał wszędzie. Najpierw – „Pojawiła się tylko maleńka śrubka. Nic - tylko zupełnie zwyczajna śrubka, trochę brzeżkiem wyszczerbiona. Co z nią począć? Rozwahał tak i owak, rósł w nim zarazem jakiś niepokój, coraz większy, i omdlałość, i strach, aż błysło mu: - To rym do «trupka»!! Zadygotał cały. A zatem symbol upadku, rozkładu, śmierci, a więc zgraja krewnych niechybnie dąży już chyłkiem, milczkiem, podkopami!”. Potem – „Dlaboga! Przecież te dywaniki - wytarte, wprost łyse, a stryj - stryj był łysy ... Nie może to być! - Wstecz! Odwrót! Zbudzić się! Zbudzić!! – pomyślał”. Ale zbudzić się nie tak łatwo, „wszystko obracało się, jawnie już, w zdradę, cuchnęło zaprzaństwem, sztandary - jak rękawiczki - z królewskich wywracały się na czarne, orderzy były z gwintem, jak karki odrąbane, ze złocistych zaś trąb nie surmy buchnęły bojowe, lecz śmiech stryjowski, jak grzmot rżący mu na pohybel”. I, jak pamiętamy, nie skończyło się to dobrze: „rozpadł się król Murdas na sto tysięcy snów, których nic już nie łączyło w jedno prócz pożaru - i palił się długo”.

Pół biedy jednak, jeśli jest się królem Murdasem i – dopóki kontroluje się swoje sny – można zlikwidować (albo dokręcić) każdą śrubkę. Gorzej, jeśli rządzi się nie w bajce, lecz w życiu, pragnąc zarazem i być szermierzem sprawiedliwości, i młotem na tych, co brużdżą. Nie zawsze było to łatwe, niewiele znamy baletnic, które byłyby zarazem medalistkami sumo. Krokiem milowym okazało się dopiero stworzenie terminu „mowa nienawiści”, walnie ułatwiającego wyciszenie nie lubianych poglądów, autorów i mediów. Przykładów – aż nadto.

Ten młot zachowuje sprawność, nabiera nawet w niektórych krajach cech udarowych. Gdy zaś któreś medium odmówi posługiwania się nim – można zmłotkować i medium. Nie do końca zdajemy sobie pewnie jeszcze sprawę z konsekwencji odstąpienia od drobiazgowej moderacji treści, ogłoszonego kilka dni temu przez Marka Zuckerberga, póki co więc niechęć młocarzy skupia się na drugim gigancie w świecie mediów społecznościowych, czyli platformie X dawniej E. Wedel, przepraszam, Twitter. Postulaty, by zakazać tej platformy rozkwitają w kolejnych krajach, pokazując, jak znakomicie daje się klonować niedawny scenariusz bukaresztański: w Polsce wniosek taki zechciała onegdaj wysunąć z niemałą gracją red. Dorota Wysocka-Schnepf.

Na mnie jednak, przyznam, większe wrażenie zrobiło wystąpienie nie publicysty, lecz osoby stojącej blisko sterów realnej władzy, a mianowicie wychowanka Leszka Millera, wicepremiera Krzysztofa Gawkowskiego. Jak wiadomo, po niedawnym pojmaniu starszego pana, który miał wygłaszać przez telefon groźby karalne pod adresem lidera WOŚP, wicepremier z całą stanowczością podniósł kwestię cofnięcia koncesji Telewizji Republika. I uzasadnił to, z całą mocą. „Osoba, która szczyła [dlaczego nie „osoba szczująca”? – ws], powiedziała, że była zainspirowana tym, co usłyszała w Telewizji Republika” — podkreślił minister. A skoro tak – „trzeba będzie to rozliczyć”.

Zbytecznym jest chyba pisanie, że nie zamierzam bronić kogoś, kto wygłasza przez telefon pogroźki pod czyimkolwiek adresem (niezależnie od tego, że 76-letni przeciwnik WOŚP był, jak się zdaje, raczej terrorystą-gawędziarzem niż Szakalem, realnie celującym do showmana kulą dum-dum). Niemal równie oczywisty jest mój dystans do, nazwijmy to uprzejmię, pewnej prostolinijności przekazu TV

Republika, prostolinijności, która w oczach mniej życzliwych niż ja obserwatorów mogłaby zostać uznana za toporną harataninę do jednej bramki.

Spróbujmy jednak przez chwilę rozłożyć komunikat wicepremiera na czynniki pierwsze. Nie wiemy dokładnie, o jaki program chodzi, jakie sformułowanie stało się dla nieszczęsnego straszka telefonicznego inspiracją. Zapewne nie wie tego i wicepremier – gdyby wiedział, zechciałby wskazać konkretny program i dziennikarza. Innymi słowy – chodzi o którąś z licznych audycji, w których Republika powtarzała pytania o bilans dochodów fundacji i związanych z nią podmiotów, o środki przekazane WOŚP jako operatorowi pomocy dla powodzian, etc. Starszy pan po kilkugodzinnym przesłuchaniu uznał, że jedna z tych audycji go „zainspirowała”. I to – powtórzmy raz jeszcze – stanowi w oczach wicepremiera uzasadnieniem do odebrania koncesji.

Ale dlaczego w takim razie ograniczać się do jakichś nudnych w gruncie rzeczy rozmów o bilansach, kontaktach, dotacjach i przelewach? Jako się rzekło, mam luksus nieśledzenia zbyt szczegółowo dorobku TV Republika, z pewnością jednak pojawiają się w jej programach informacyjnych doniesienia o pożarach w Kalifornii, o trzęsieniach ziemi i wybuchach wulkanów. Jeśli dla wicepremiera Gawkowskiego istnieje *iunctim* między programem o finansach WOŚP (a nawet, przypuśćmy, pojawiającej się w takim programie krytyce lidera Orkiestry) – czy nie równie łatwo byłoby stwierdzić, że starszego pana do groźnego telefonu zainspirowała wiadomość o walkach w Syrii? Program historyczny o „sumach neapolitańskich”, które tak okrutnie uszczupliły swego czasu skarbiec Rzeczypospolitej? Albo jakiś program przyrodniczy, TV Republika na pewno ma jakieś programy przyrodnicze, na przykład o kumakach, i taki program mógł przecież

zainspirować telefonistę. Mógł czy nie mógł? Niezbadane są głębokie ludzkiego umysłu, zarówno niechętnego WOŚP emeryta, jak min. Gawkowskiego: nieraz *triggerem*, wyzwalającym agresywne zachowania, może być jakaś trauma z odległej przeszłości. Przypuśćmy, że emeryta kiedyś, jako dziecko, obrzucono w ogródku jordanowskim kumakami, od zaś musiał stłumić gniew i upokorzenie, aż do chwili, gdy...

Oczywiście, wicepremier może, jeśli zechce, odebrać koncesję TV Republice nie przejmując się żadnym KRRiT, i jeśli sondaże będą się charakteryzować podobną dynamiką, jak obecnie, zapewne to zrobi. Nic na to nie poradzę, a jednak ośmielam się prosić: czy uzasadnienie mogłoby mieć odrobinę więcej sensu? Więcej w każdym razie niż stwierdzenie, że inspiracją do telefonu z pogrózkami był jakiś program śledczy. Naprawdę można znaleźć coś lepszego. Jakiegoś kumaka. Łysego stryja. Albo bodaj śrubkę.

*Wojciech Stanisławski*

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---